

STEFAN ŻEROMSKI



*Wierna
Rzeka*

█

Ocknęło się znów zimno targające wnętrzności — i cierpienie, co raz wraz jak toporem rozrąbywało głowę. W prawym biodrze ból szarpał się nieustannie niby hak węzy żelaznej wrywany na zewnątrz. Co chwila ogień niepojęty, nieznanym zdrowemu ciału, latał po plecach, a ciemność pełna wielobarwnych iskier oślepiła oczy. Ranny zawinął się i zatulił w półkożuszek, który jeszcze za dnia zdarł był z żołdaka ubitego w zaroślach na brzegu rzeki. Nagie nogi i skrwawione biodra wpychał głębiej w stos trupów, szukając tych dwu ciał, które ciepłem broczących ran rozgrzewały go w ciągu nocy, a wyciem i jękiem budziły ze snu śmierci do łaski życia. Lecz tamci dwaj ucichli, ostygli i stali się równie ohydni jak zagon skrwawionym okryty ścierniem. Ręce i nogi poszukujące ciepła jeszcze żyjących trafiały wciąż na obmokłe i śliskie zwłoki.

Podźwignął głowę.

Zobaczył zmysłem wzroku dokonanie, które był przeżył — spostrzegł to dzieło nowe, które w duchu przecierpiał. Leżeli w kilkuset, tworząc w zmierzchu rannym białą górę — podobijani, gdy padli z ran, na rozkaz wodza nieprzyjaciół, rodaka i niedawnego spiskowca — obdarci przez wojsko ze szmat do ostatniego gałgana — roztrzęsieni na bagnietach — po dziesięć razy do ziemi przybici sztychem oficerskiej szpady pchniętej na wskroś — z głowami rozwalonymi kulą z lufy przystawionej do czoła — porozgniatani przez pędzące koła armat Czengierego.

Zrudział daleko przypiaskowy grunt ode krwi, co do ostatniej kropli z tych zwłok wyciekła. Zmiękły grudy twardej oraniny. Roztajał śnieg. Wleczeni w to miejsce ze wszech stron za nogi, zamietli do czysta włosami szeroką niwę. Ugrabili ją

kostniejącymi palcami. Naszeptali w zagony ostatnich słów i pokąsali je w ostatnim szlochu.

Oniemiało i zacichło małogoskie pole. Ostatni żywy żołnierz patrzył w nie przez mgłę półśmierci przy brzasku cichego poranka.

Zdało mu się — dopiero co stały w tym miejscu konie... Jeszcze dudni ziemia, gdy ze śmiertelnym krzykiem pędzą we trzystu towarzysza na zdrajcę! Gdzież źrebiec? Gdzie pałasz? Gdzie pod stopą żelazne strzemię, ostatni towarzysz?

Nie słycać już łoskotu granatów Dobrowolskiego zasypujących dolinę. Znikły flankiery kozactwa i dragonów, co przez cztery z górą godziny miały tyralierski ogień. Skąd wybuchały kępy i kłęby dymów, a błyskał ogień, wzgórze strome od południa szarzeje w ciszy. W zachodniej stronie biała smuga cmentarnego muru, gniazdo Jeziorańszczyków, jazdy, armatek... A tam, pośrodku, gdzie stała piechota — nie ma nic! Z dubeltówkami bijącymi na sto kroków — u nogi — stali pod ogniem rotowym nieprzyjaciela, co w nich celował jak do tarczy z karabinów niosących na tysiąc pięćset metrów. Czekali cierpliwie z wytrwałością Greków — przyjdź i weź! — aż wróg się zbliży na strzał, aż padnie rozkaz: do ataku! Leżeli teraz zwaleni na jeden stos. W odległości kłębiły się i wałęsały nad niziną dymy miasteczka, do przyciesi spalonego przez wojsko. Raz wraz szeroki płomień jak skinienie chorągwi nieubłaganie podrywał się ze zgliszczy, popielisk i dymów — migotliwym blaskiem naigrawał w mrokach śmierci i postrzępionym językiem mówił ku czarnemu niebu. Wtedy rozdzierający krzyk ludzi, spomiędzy czarnych piecowisk wybuchający, dosięgał uszu rannego — obojętny już dla serca i niezdolny podźwignąć ramienia. Podobnie jak nad zgliszciami ogień zrywały się w człowieku czucia, lecz — jak on — w czarnym dymie ślepych cierpień gasły.

Puścił się drobny deszcz ze śniegiem. Zawiała z lasu nad Łośną mokra mgła. Przeciągnęły tumany po nagich i stromych wzgórzach, wlokły się po nadrzeczu i przez pole. Zwilżyły twarz jakoby mokra chusta. W tej mgle rannej dawał się widzieć włochaty od świerków, ciemny las. Z jednolitego zastępu drzew ciągnął na nagie pole jak gdyby ciepły podmuch — łaskawy poszum gałęzi. Chwiały się powolnym ruchem długie, powyciągane splewy, nisko rozpostarte obmokłe wiechy, wołając głuchym głosem, żeby tamtędy uciekać.

Ludzi żywych nie było. Nikogo — nigdzie. W pobliżu leżał zabity człowiek, który miał na nogach brudne zgrzebne spodnie. Przekręciwszy się przez zagon, ranny począł zdzierać zeń tę odzież i co tchu wciągnął ją na swe nagie, dygocące nogi. Szukał oczyma na trupach butów, lecz ani jeden ich nie miał. Wszystkie zzuto i zrabowano. Nagle we wschodniej stronie, od Bolmina, rozległ się łoskot armatniego strzału. Po nim drugi... trzeci... Ten dźwięk obudził życie. Coś w całym jęstwie drgnęło i ruszyło siły. Bitwa! Do broni! Do szeregu! Począł w tamtą stronę czołgać się na czworakach, bruzdą, co tchu! Lecz po kilkunastu poruszeniach zapadł na nowo głową między skiby. Prawa noga wlokła się bezwładnie. W biodrze rwał ból. Zmacawszy to miejsce inwalida trafił dużym palcem ręki na głęboką, opuchniętą dziurę, z której skąpo, lecz wciąż krew się sączyła. Na lewe oko nie widział. Wyczuwał palcami w miejscu brwi, powieki, gałki ocznej i policzkowej kości — wypukłą bulwę, w której ogień wciąż drgał sypiąc wielobarwne iskry. Nie było już oka, lecz dziwne i rozśmieszające zjawisko wielkiej narośli. Głowa, zrąbana szablami w bitwie, wysączyła we włosy dużo krwi, która zastygła w zlepienia, w sople i utworzyła na czaszce istną czerwoną czapkę. W piersiach, między żebrami, w ramionach narywały rany od wielokrotnych pchnięć bagneta. Ale mocniejsze niż wszelki ból było zimno. Żelazną garścią chwytano za skrwawione włosy, zapuszczało w kości i między zebra szpony, potrząsając zrąbane półzwłoki dreszczem bez pardonu. Ono to gnało naprzód. Powłókł się znowu na bałyku. Raz na dwu rękach i lewym kolanie, drugi raz na stopie i dłoniach, gdy bezwładnie ciągnęła się prawa noga — czyniąc z całej figury obraz wielkiej śmieszności istotnego nieszczęścia. Tak dowlókł się do pierwszych drzew lasu. Chwiały się w zimowym deszczu i we mgle świerkowe gałęzie. Spadał z nich na ziemię niewymowny szum. Ani w nim nie było żałości, ani współczucia, ani miłosierdzia, ani pogardy. Długo spływał ten zimny szum na serce półumarłe.

Samotnik dźwignął się na rękach i objąwszy pień pierwszego w lesie drzewa stanął na nogach. Nasłuchiwał odgłosów bitwy. Nic nie przerywało ciszy. Patrzył na pobojuwisko. Nie żałował ani tych, co w czarnym polu leżeli, ani siebie, ani dzieła. Jedyne czucie osiadło w jego piersiach, jedyna myśl pod skrwawionymi włosami: bić się. Patrzył był, jak żołnierze mordowali rannych żołnierzy, jak półżywych odzierali ze szmat... Nie było czym zagasić życia, które się zmieniło w hańbę i śmieszność. Pożałował legowiska między trupami. Począł się prosić o śmierć. Padł na ręce i twarz. Duszę ogarnął mrok...